

## JAK STAŁEM SIĘ PODMIOTEM

**Koniec czerwca 1978 r., koniec roku szkolnego i koniec mojej pracy w XXXVII LO im. Jarosława Dąbrowskiego w Warszawie. Dostałem od „swoich dzieci” jako prezent orła w koronie. To za lekcje historii. Od dyrektor szkoły Ireny Respondek otrzymuję zaś informację o tym, że umowa ze mną nie będzie przedłużona. Nie martwi mnie to specjalnie, bo i tak od kilku tygodni mam w kieszeni bilet do Wrocławia. Co znaczy, że od lipca stanę się żołnierzem ludowego Wojska Polskiego, a służbę będę odbywał w „Alma Mater” polskiej armii – Wyższej Oficerskiej Szkole Wojsk Zmechanizowanych imieniem (jak to mówiono) Tadeusza Kościuszki.**

Znalazłem się tam po tradycyjnie zakrapianej podróży, którą odbyłem wraz z kolegą z roku, Grzegorzem Mańkiem, w pierwszych dniach lipca 1978 r. Moim „domem” stały się koszary na ulicy Czajkowskiego koło restauracji „Harenda”, a „matką” 3. kompania (Żywiecka – to od nazwiska dowódcy porucznika Żywieckiego, jednego z nielicznych prawdziwych oficerów, jakich spotkałem podczas swojej „przygody” z wojskiem), w niej zaś pierwszy pluton.

Pierwsze dni zupełnie dziwaczne, inny niż dotychczasowy świat. Kondensacja strachu, odwagi, postępowania jak ze Szwejka, uczciwości, małości. Wszystko w jednym. Nad tym dominująca tęsknota za domem, małym Michałem i Hanią.

Rano krzyk: „pobudka, pobudka, pobudka” – wypadamy na korytarz, w pierwszych dniach mylą się buty. Ci więksi nakładają te mniejsze, ci mniejsi te, które zostały. Ktoś się wywrócił, ktoś dostał ataku śmiechu. Cyrk.

Po śniadaniu i obowiązkowym apelu wymarsz na ćwiczenia. Kopiemy, czołgamy się, dość dużo strzelamy, jak na oszczędzające pieniądze (L)WP. Dostajemy solidny wycisk, i to wbrew ogólnie przyjętej teorii, że „wy, studenci, to w ogóle nie byliście w wojsku”.

Zewnętrzny proces uniformizacji postępuje. Obróbka przynosi stopniowo efekty. Dzień w dzień to samo: pobudka, rejon, ćwiczenia, lekcje (!), obiad, praca własna. Po kilku dniach zaczynamy się powoli poznawać. Są różni koledzy. Kilku historyków, leśnik, studenci AWF z Wrocławia i Katowic, z Akademii Rolniczych. To celowe pomieszanie materii ma utrudnić z jednej strony stworzenie przez nas jednolitej grupy, z drugiej zaś ułatwić kierowanie nami. Zapisują nas wszystkich do „organizacji młodzieżowej” – nie udało się zapisać tylko jednego (Jacka Terpiłowskiego – spóźnił się dzień lub dwa, a później zabrakło dla niego legitymacji, jeszcze później zaś nie dał się zapisać – na co zresztą nie było szalonej presji – zawsze potrzebny był choćby jeden oryginał).

Z biegiem czasu dowiadujemy się, że jesteśmy „kupą gówna, a nie magistrami. A gówna nie należy ruszać, bo śmierdzi”. Że Katyń to zrobili Niemcy (to, o ile dobrze pamiętam, w okolicach „Dnia Wojska Polskiego” 12 października 1978 r. – oficer prowadzący zajęcia na zadane przez kolegów Łosia i Besza pytanie „czy obywatel pułkownik wierzy w to, co mówi?” wypadł z krzykiem o kontrrewolucji z sali wykładowej). Po nakazaniu śpiewu (*My Pierwsza Brygada*) drużynie, ja z kolei dowiedziałem się od porucznika Curyły, że „to dziadowska piosenka” i lepsza będzie *Uleciały wróble chmurą*. Autora tego wiekopomnego dzieła niestety nie zapamiętałem.

Tak dzień po dniu ucząc się o niezwykłości naszego wielkiego sojusznika i walcząc z Bundeswehrą, która nacierała na naszą miłującą pokój ojczyznę od zachodu – szczególnie zaś z kierunku Legnicy (tego nie mogliśmy w żaden sposób pojąć, jak to być może, że wróg naciera z tego właśnie miasta, skoro tam stacjonuje dowództwo Północnej Grupy Armii ZSSR w Polsce – czyżby się tak szybko poddali!?), krok po kroku zbliżaliśmy się do przysięgi. Z tej „uroczystości” pamiętam tylko kompletną ciszę na placu, gdy przyszło do przysięgania na wierność i braterstwo broni ze wspomnianą i niezwykłą Armią Czerwoną. Potem już tylko rutyna, nuda, drobne szykany ze strony „zawodowych” podchorążych (uczciwie trzeba przyznać, że nie wszystkich). Pobudka, mycie, zaprawa (której wszyscy unikali jak ognia, chowając się w rowach irygacyjnych), śniadanie, ćwiczenia lub lekcje, obiad, lekcje lub praca własna, rejon i narastająca nuda wraz z nieprawdopodobną tęsknotą za domem. Do tego całkowite pozbawienie człowieka możliwości bycia sobą. To ostatnie zarówno przez wtłoczenie w tryby wielkiej maszyny, jak i zakamuflowany, ale ciągły i narastający nacisk polityczny.

Tak było dzień w dzień. 16 października od pobudki nie był pod tym względem inny, nie różnił się od dni poprzednich. Aż do kolacji.

Jedliśmy w stołówce swoje „pierniki Jaruzelskiego”, popijając herbatką z bromem, gdy nagle w całym mieście zaczęły bić w kościołach dzwony. Pierwsza, nie do końca mądra reakcja – pewno ktoś umarł. Bicie jednak nie ustawało, wręcz stopniowo się nasilało. Znowu kilka minut niepewności.

Na salę, w której jemy, wchodzi Miron Maicki<sup>1</sup> (obecny prezes Ruchu) pełniący funkcję zastępcy dowódcy kompanii do spraw politycznych. Z tego, co powiedział, zapamiętałem tylko jedno: „Wojtyła został papieżem”. Nastąpiła krótka chwila ciszy, potem coś zupełnie nieprawdopodobnego. Fala entuzjazmu wyrzuciła z nas radość tak przeogromną, że ani wtedy, ani tym bardziej teraz (szczególnie w ostatnich dniach) nie da się tego opisać. Nie wiem, dlaczego i po co wszyscy naraz rzucili do góry sztucze i plastikowe talerze. To był pierwszy odruch. Miron tymczasem stał jak wmurowany w ziemię. Z chwili na chwilę aura stawała się jednak coraz bardziej poważna – „Habemus Papam” obejrzelśmy ze łzami w oczach w obowiązkowym dzienniku telewizyjnym.

W każdym z nas narastała duma i radość, coś określonego i nieokreślonego zarazem. Rodziła się też pewność, że nikt nam już nic nie zrobi, że dzięki temu jednemu, nieoczekiwanemu zupełnie zdarzeniu jesteśmy wszyscy mocniejsi i lepsi. Tymczasem nasi „nadzorcy” jakby znikli, zapadli się pod ziemię. Przez prawie cztery dni (było to wyraźnie widać) towarzysze nie bardzo wiedzieli, jak sobie poradzić z „problemem”. Myślę też, że do końca nie znaleźli wyjścia z tej sytuacji<sup>2</sup>. Cała służba we Wrocławiu po tym zdarzeniu toczyła się już o wiele bardziej „normalnie” i spokojnie. Przestaliśmy być przedmiotami, staliśmy się wreszcie podmiotami. Uczyniła to jedna chwila i jeden człowiek.

<sup>1</sup> Miron Maicki był kolegą z mojego roku studiów historycznych w Warszawie, który służbę rozpoczął o pół roku wcześniej niż my. Funkcja zaś wspomnianego zastępcy dowódcy ds. pol. nie była niczym innym niż funkcją kompanijnego „kapusty” lub „uchola”, jak to wtedy mówiono, tyle że o Mironie nie mogę powiedzieć w mikroskali nic złego.

<sup>2</sup> Następnego dnia mieliśmy tzw. łączność – rozpaczliwie nudna praca na radiostacji przeobraziła się w wyjątkowo ciekawe zajęcia, przestano bowiem na kilka dni zakłócać „Wolną Europę”, którą nasze ukafki odbierały, jakby nadawano za miedzą. Oczywiście obsługujący ten sprzęt (w tym i ja) mieli na uszach słuchawki, wszelka komunikacja z obecnymi na sali kolegami i w obecności prowadzących zajęcia oficerów odbywała się więc „za pomocą” wrzasku: „właśnie doniósł Wolna Europa to i tamto i jeszcze coś innego” – bez najmniejszych konsekwencji!

Po pół roku we Wrocławiu wróciłem w stopniu plutonowego podchorążego do Warszawy, gdzie spędziłem kolejne sześć miesięcy w Nadwiślańskich Jednostkach Wojskowych MSW. Na ten czas przypadła pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Kraju.

Obecność Ojca Świętego starano się przemilczeć (naszej podmiotowości jednak nie dało się już zniszczyć), unikano mówienia na ten temat. A życie właśnie spletało towarzyszą ogromnego figla w postaci pielgrzymki Papieża do Polski.

Między innymi mój pluton, z którym przebywałem wtedy na szkoleniu unitarnym na

poligonie w Raduczu, przeznaczono do zabezpieczania pielgrzymki. Przed powrotem do Warszawy byliśmy szkoleni politycznie przez kapitana Gorzelańczyka<sup>3</sup>, który „właśnie wrócił z ważnej dla Polski Ludowej misji i widział Papieża, jak całował ziemię – ale dlaczego?” – zastanawiał się ten przenikliwie inteligentny oficer, nakazując równocześnie, by nikt, kto nie będzie pełnił służby w czasie przejazdu Papieża, nie uczestniczył w powitaniu na trasie<sup>4</sup>. Starano się zniechęcić też w inny sposób do udziału w papieskiej Mszy, puszczać w obieg informacje o olbrzymiej liczbie ludzi, którzy mają przybyć na ówczesny plac Zwycięstwa, co miało grozić tumultem i możliwymi ofiarami. Nikt oczywiście się tym nie przejmował i większość podchorążych udała się zobaczyć i pozdrowić Ojca Świętego.

Po przyjeździe do Warszawy moi żołnierze otrzymali połowe mundury milicyjne, w których mieli zabezpieczać przejazdy i Msze. Żołnierze pochodzący z różnych bardzo środowisk zaprotestowali. „Nie jesteśmy milicjantami, nie jesteśmy ZOMO” – mówili chłopcy. Wygrali, nie kazano im nakładać milicyjnych uniformów.

Oni też stali się podmiotami!



Fot. ze zbiorów autora

Od lewej: Włodzimierz Kowalski, Piotr Łysakowski i Jacek Gorajski

<sup>3</sup> Oficera tego wraz z drugim znanym mi wojskowym widywałem w trakcie Mszy w okolicach kościoła św. Anny i na placu Trzech Krzyży krótko po zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki. Obaj wyraźnie mieli coś dużego pod kurtkami (radiotelefony, magnetofony?). Wspomniany oficer służył w Wojsku Polskim jeszcze długo po 1989 r.

<sup>4</sup> Potem jeszcze dowództwo jednostek wydało rozkaz (komunikowany nam przez oficerów politycznych) o zakazie strojenia kwiatami i podobiznami Ojca Świętego balkonów i okien mieszkań.